

Margaret Atwood

O szaleństwie szalonych naukowców: Wielka Akademia Jonathana Swifta

Margaret Atwood jest autorką ponad trzydziestu tomów poezji, prozy i literatury faktu. Największą sławę przyniosły jej powieści, między innymi: Kobieta do zjedzenia, Opowieść podręcznej, Zbójcka narzeczona, Grace i Grace oraz Oryks i Derkacz. Jej najnowsza powieść nosi tytuł Rok potopu. Utwory Margaret Atwood przetłumaczono na ponad czterdzieści języków.

Pierwsi członkowie Towarzystwa Królewskiego byli poważnymi poszukiwaczami prawdy i filarami społeczeństwa. A także, dla niektórych, obiektem kpin i – jak wyjaśnia Margaret Atwood – inspiracją do powstania bardziej złowrogiego archetypu naukowca.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy byłam studentką, w kinach grano jeszcze filmy klasy B.

Były to niskonakładowe produkcje, dość makabryczne, wyświetlane na tanich podwójnych przedpołudniowych seansach, na które można było pójść, żeby się urwać z wykładów. Inwazje kosmitów, mikstury zmieniające świadomość i nieudane eksperymenty naukowe należały do obowiązkowych punktów programu.

Szaleni naukowcy stanowili trzon kina klasy B. Widząc grupę odzianych w białe fartuchy panów dzierzących probówki, my, widzowie, wiedzieliśmy od razu – będąc dziećmi naszych czasów – że przynajmniej jeden z nich okaże się przebiegłym megalomanem, ogarniętym obsesją zapanowania nad światem, po drodze poddającym blondynki straszliwym eksperymentom, od czego uratować je może tylko główny bohater, dopiero jednak wtedy, gdy szalony naukowiec ujawni swoją prawdziwą naturę, bełkocząc i piekąc się. Czasami naukowcy bywali samotnymi bohaterami, walczącymi z epidemią i stawiającymi czoła zabobonnej tłuszczy, zdeterminowanej, by przeciwstawić się prawdzie poprzez starcie naukowca na proch. Wszakże najczęstszym modelem był szaleniec. Jeśli naukowcy nie byli obłąkani, to dawali się zwieść: ich stworzone w dobrej wierze wynalazki były skazane na wymknięcie się spod kontroli, by siać spustoszenie, tworzyć zamieszanie i generować kupy ohydnej mazi, dopóki nie zastrzelili się ich albo nie wysadzi w powietrze tuż przed końcem filmu.

Skąd wziął się stereotyp szalonego naukowca? Jak to się stało, że naukowiec – ten wyobrażony – zaczął cierpieć na urojenia albo popaść w obłąd?

Nie zawsze tak było. Dawno, dawno temu w sztukach teatralnych i fikcji literackiej nie występowali żadni naukowcy jako tacy, bo nie istniała nauka jako taka, nie w naszym dzisiejszym rozumieniu nauki. Można było spotkać alchemików i amatorów

czarnej magii – czasem w jednej osobie – których przedstawiano nie jako szaleńców, ale jako szarlatanów, obiecujących zamienić ołów w złoto, aby oskubać naiwnych, albo jako nikczemników zawierających pakt z diabłem w nadziei na zdobycie ziemskiego bogactwa, wiedzy i władzy w zamian za swą duszę, jak Faust. Rys przemądrzałości w ich charakterze mógł pochodzić od platońskich Atlantydwów lub budowniczych wieży Babel, ambitnych i przekraczających granice wyznaczone człowiekowi, zwykle przez jakiegoś boga, a następnie za swój tupet zniszczonych. Owi alchemicy i faustowscy czarownicy z pewnością stanowią część rodowodu szalonego naukowca, lecz nie popadają w obłąd ani nie ulegają złudzeniom, są śmiali i niemoralni.

Sporo ich dzieli od ekscesów opętanych szaleństwem naukowców z filmów klasy B. Musi gdzieś tu istnieć brakujące ogniwo, takie jak odkryta niedawno chodząca foka, której istnienie postulował już Charles Darwin, wypełniająca lukę między poruszającym się na nogach psowatym a pływającą foką. Jako brakujące ogniwo w drzewie genealogicznym szalonego naukowca proponuję Jonathana Swifta, w parze z Royal Society. Bez Towarzystwa Królewskiego nie byłoby „Podróży Gullivera”, a w każdym razie w książce nie pojawiliby się naukowcy; a bez „Podróży Gullivera” nie mielibyśmy szalonych naukowców w książkach i filmach. Taką mam teorię.

„Podróże Gullivera” Jonathana Swifta przeczytałam w dzieciństwie, kiedy nic jeszcze nie wiedziałam o naukowcach z filmów klasy B. Nikt nie kazał mi tego czytać; z drugiej strony, nikt mi też nie zabraniał. Wydanie, które miałam, nie było wersją dla dzieci, która rozwodzi się nad uroczymi Liliputami, zabawnymi olbrzymami i gadającymi końmi, unika natomiast wzmianek o sutkach i oddawaniu moczu, a te o ekskrementach tonuje. Owe okrojone wersje pomijają także większość części trzeciej – o latającej wyspie Lapucie, Wielkiej Akademii Lagadyjskiej z jej pięciuset eksperymentami, nieśmiertelnych Struldbrugach z Luggnagg – jako niezrozumiałe dla młodych umysłów. Ja miałam pełne wydanie i niczego nie pominęłam, z częścią trzecią włącznie. Przebrałam całą książkę.

Uznałam, że jest całkiem niezła. Nie wiedziałam jeszcze, że „Podróże Gullivera” to satyra, że oko pana Swifta było bardzo mocno przymrużone podczas jej pisania i że już samo nazwisko Gulliver, brzmiące tak podobnie do słowa „gullible”, „naiwny”, stanowiło wskazówkę. Uwierzyłam, że wydrukowane na początku listy – ten od samego pana Gullivera, w którym narzeka na tandetne wydanie swojej książki, oraz ten od jego kuzyna, pana Sympsona, którego nazwisko bardzo przypomina słowo „simpleton”, czyli „głupek”, jak sobie później uświadomiłam – świadczą o prawdziwości relacji pana Gullivera. Rozumiałam co prawda, że ktoś nazwiskiem Swift ma coś z tą książką wspólnego, ale nie sądziłam, że po prostu wszystko zmyślił. „Podróże Gullivera” były niewiarygodną historią przedstawioną z kamienną twarzą jako prawda w celu zrobienia ze słuchacza balona, a ja dałam się nabrać.

Za pierwszym razem przeczytałam więc tę książkę w sposób praktyczny i prostoliniowy, w dużej mierze tak, jak została napisana. Kiedy na przykład Gulliver gasił pożar w królewskim pałacu Liliputów, sikając na niego, nie widziałam w tym ani potencjalnie wywrotowego prztyczka wymierzonego w pretensje koronowanych głów i panującą na dworach niesprawiedliwość, ani komicznego wulgaryzmu. Znając uświęcone tradycją sposoby gaszenia ognisk stosowane przez drwali, myślałam raczej, że Gulliver wykazał podziwu godną przytomność umysłu.

Miniaturowe ludziki oraz olbrzymy nasuwały mi skojarzenia z bajkami, ale część trzecia – latająca wyspa i instytucja naukowa – wcale nie wydawała mi się taka naciągana. Był koniec lat czterdziestych, trwała złota era science fiction, zwana także okresem potworów o wyłupiastych oczach (bug-eyed monster), więc statki kosmiczne traktowałam jako coś oczywistego. Było to przed nadejściem rozczarowujących wiadomości – że nie ma inteligentnych form życia na Marsie – a także zanim przeczytałam „Wojnę światów” H. G. Wellsa, w świetle której wszelkie formy życia wystarczająco inteligentne, żeby zbudować statki kosmiczne i przylecieć na Ziemię, byłyby o tyle od nas mądrzejsze, że widziałyby w nas chodzące kebaby. Uważałam więc za całkiem możliwe, że kiedy dorosnę, polecę w kosmos i poznam jakiś kosmitów, których wtedy podobnie jak teraz wyobrażano sobie jako łysych, wielkookich i wielkogłowych.

Dlaczego więc nie miałyby istnieć latająca wyspa, taka jak Laputa? Metoda utrzymywania jej w powietrzu za pomocą magnesów wydawała mi się nieco kłopotliwa (czy pan Swift nie słyszał o napędzie odrzutowym?), ale koncepcja unoszenia się nad irytującym nas krajem, tak aby zawsze znajdował się w cieniu i uprawy nie dawały plonów, wyglądała całkiem inteligentnie. Jeśli chodzi o zrzucanie na mieszkańców kamieni, uznałam je za jak najbardziej sensowne. Dzieciaki z powojennego pokolenia dobrze wiedziały, jak ważna jest przewaga powietrzna, i sporo wiedziały o bombach.

Nie rozumiałam, dlaczego jedzenie mieszkańców tej latającej wyspy musi być pokrojone w kształt instrumentów muzycznych, natomiast budziciele, którzy bili ich nadmuchanymi pęcherzami, żeby ich wyrwać z zamyślenia, wydawali się nie od rzeczy. Mój ojciec uczył już wtedy na Wydziale Zoologii Uniwersytetu w Toronto, więc dorastając wśród naukowców, często obserwowałam ich przy pracy, wiedziałam, że mogą tacy być. Kierownik Wydziału Zoologii na przykład notorycznie się podpałał, wkładając tłącą się fajkę do kieszeni, i budziciel bardzo by mu się przydał.

Kiedy doszłam do Wielkiej Akademii Lagadyjskiej, poczułam się jak w domu. Późne lata czterdzieste były nie tylko złotą erą wyłupiastookich potworów, ale także niebezpiecznych zestawów młodego chemika – teraz zabronionych, bez wątplenia mądrze – a mój brat miał taki zestaw. „Zmień wodę w krew i zadziw przyjaciół!” – głosiły reklamy, a my skwapliwie przystępowaliśmy do dzieła z cennymi kryształkami o nazwie – jak sobie przypominam – nadmanganian potasu. Przyjaciół można było zadziwić na wiele innych sposobów i wszystkie wypróbowaliśmy, przy czym udało nam się ich nie otruć. Pewnie nie byliśmy jedynymi dziećmi, które wyprodukowały

siarkowodór („Wytwórz zapach zgniłych jaj i zadziw przyjaciół!”) w dniu spotkania kółka brydżowego matki. Dzięki tym eksperymentom poznaliśmy podstawy metody naukowej: każda procedura przeprowadzona w ten sam sposób, przy użyciu tych samych materiałów, powinna dawać takie same wyniki. I nasze doświadczenia dawały, dopóki nie skończył się nadmanganian potasu.

Nie były to jedyne eksperymenty, jakie przeprowadzaliśmy. Nie będę tu wymieniać wszystkich naszych naukowych przygód, mających swoje ofiary: martwe kijanki w słoikach zostawionych przez pomyłkę na słońcu, gąsienice, które marnie kończyły... Zatrzymam się tylko na chwilę przy eksperymencie z pleśnią, do którego wykorzystywaliśmy różne artykuły spożywcze, umieszczane przez nas w słoikach – w domu robiło się przetwory, więc w słoiki byliśmy zaopatrzeni – żeby zobaczyć, co może na nich wyrosnąć. Rezultaty były wielobarwne i wąsate, o czym wspominam teraz tylko po to, by wyjaśnić, dlaczego projektor Wielkiej Akademii, który uznał za genialny pomysł nadmuchiwanie psa przez otwór w tylnej części ciała, aby wyleczyć go z kolki, ani trochę mnie nie zdziwił. Szkoda, że pies eksplodował, ale na pewno był to błąd w metodzie, a nie uchybienie w samej koncepcji; w każdym razie moim zdaniem.

Scena ta zapisała się w gdzieś w mojej pamięci i wspomnienie włączyło się, kiedy po raz pierwszy miałam robioną kolonoskopię i mnie samą tak nadmuchiwanie. Miał pan dobry pomysł, panie Swift, dumalam, ale zastosowanie nie to. Poza tym myślał pan, że to absurdalna historyjka. Gdyby pan wiedział, że doodbytniczy miech, który musiał wydawać się panu tak zabawny, 250 lat później pojawi się na Ziemi, aby za jego pomocą lekarze mogli wprowadzać pacjentom do jelit maleńką kamerę i w ten sposób zobaczyć, co się tam dzieje, co by pan na to rzekł?

Podobnie rzecz wygląda z większością eksperymentów opisanych w rozdziałach „Podróży Gullivera” poświęconych Wielkiej Akademii. W zamierzeniu Swifta miały to być żarty, ale wiele z tych koncepcji zrealizowano później na poważnie, choć z pewnymi zmianami. Na przykład pierwszym napotkanym przez Gullivera projektorem jest człowiek, który wpędził się w nędzę, ponieważ usiłował wprowadzić w czyn swoją wizję, która w zamyśle Swifta była pogonią zwariowanego profesorka za księżycowym blaskiem: chciał uzyskiwać promienie słoneczne z ogórków i wyciąg ten butelkować, aby móc używać go zimą, kiedy ilość słońca jest ograniczona. Swift musiał śmiać się w kułak, ale ja, młoda czytelniczka, nie widziałam w tym pomysłe nic nadzwyczajnego, bo codziennie rano dostawałam łyżkę tranu, bogatego w witaminę D, zwaną „witaminą słońca”. Projektor użył po prostu niewłaściwego obiektu – ogórków zamiast dorsza.

Niektóre z eksperymentów projektorów mniej mnie interesowały, chociaż dzięki nim Swift zyskał opinię osoby obdarzonej zdolnością przewidywania. Ślepiec, który uczy w Akademii innych niewidomych rozróżniania kolorów dotykiem, niewątpliwie miał w zamyśle autora reprezentować kolejną głupotę niedoszłych geniuszy, dziś jednak trwają doświadczenia z urządzeniem o nazwie BrainPort, mającym umożliwić niewidomym „widzenie” językiem. Z kolei maszynę z licznymi korbami, po przekręceniu których szeregi dziwnych, przypominających chińskie, słów układają się

w nieskończenie wiele sekwencji – by w końcu powstały w ten sposób arcydzieła, jak w dobrze znanym twierdzeniu o nieskończonej liczbie małp z maszynami do pisania – niektórzy uznają dziś za zapowiedź komputera.

Jednak przewidywanie przyszłości i sugerowanie nowych przydatnych wynalazków miało się zasadniczo z intencjami Swifta. Jego projektorzy – nazywani tak, bo są pochłonięci swoimi projektami – stanowią połączenie naukowca doświadczalnego i przedsiębiorcy; w „Podróżach Gullivera” są niczym paciorki na długim sznurze ludzkiego szaleństwa i deprawacji, w połowie drogi pomiędzy Liliputami, z ich małutkimi awanturkami i małostkowymi intryzkami, a brutalnymi, wrednymi, śmierdzącymi, brzydkimi i złośliwymi Yahoosami z książki czwartej, którzy reprezentują ludzkość w hobbesowskim stanie natury, obnażoną i wystawioną na działanie żywiołów.

Projektorzy Swifta nie są jednak niegodziwi ani tak naprawdę obłąkani. Działają wręcz w dobrej wierze: ich wynalazki w zamierzeniu mają służyć doskonaleniu człowieka. Wystarczy, że damy im więcej czasu i pieniędzy, i wolną rękę, a wszystko bardzo szybko zmieni się na lepsze. Całkiem wiarygodna historia, wielokrotnie powtarzana od czasu pojawienia się nauki stosowanej. Czasem kończy się dobrze, przynajmniej na pewien czas: postęp naukowy rzeczywiście obniżył umieralność, samochód przyspieszył podróżowanie, klimatyzacja zaczęła nas chłodzić w lecie, „zielona rewolucja” zwiększyła zasoby żywności. Jednak dość regularnie w przypadku rezultatów naukowych „ulepszeń” ma zastosowanie doktryna niezamierzonych konsekwencji: rolnictwo nie może nadążyć za eksplozją demograficzną, a w efekcie miliony ludzi żyją w nędzy i nieszczęściu, klimatyzacja przyczynia się do globalnego ocieplenia, samochód obiecywał wolność, ale – poprzez długie dojazdy, zakorkowane drogi i wzrost zanieczyszczeń – przyniósł zniewolenie. Swift antycypował nasz świat: projektorzy obiecują sielankową przyszłość, w której jeden człowiek będzie wykonywać pracę dziesięciu, a wszystkie owoce będą zawsze dostępne (automatyzacja i supermarket), ale: „Jedyny kłopot w tym, że żaden z tych projektów nie osiągnął jeszcze pełnej doskonałości, a w oczekiwaniu, że się tak stanie, cały kraj popadł w nędzę i leży odłogiem, domy popadają w ruinę, a ludziom brak odzienia i żywności”¹. Pod wpływem projektorów utopijne gruszki są widoczne na wierzbie, ale tam pozostają.

Jak wspomniałam, projektorzy nie są umyślnie nikczemni. Mają jednak klapki na oczach, zupełnie jak pewien współczesny naukowiec, który, zapytany, dlaczego stworzył od zera wirus polio, odparł, że powodem było to, iż ten wirus jest prosty, a następnym razem stworzy wirus bardziej skomplikowany. Pytanie, które większość z nas zrozumiałaby jako: „Dlaczego zrobił pan coś tak potencjalnie niebezpiecznego?” – czyli pytanie dotyczące celu – naukowiec odczytał jako pytanie o środki. Projektorzy Swifta tak samo mylnie pojmują zwykłe ludzkie pragnienia i lęki. Ich największą

1

J. Swift, *Podróż do wielu odległych narodów świata*, tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979.

zbrodnią jest nie obraza moralności, ale występki przeciw zdrowemu rozsądkowi. Nie mają złych zamiarów, kiedy jednak odmawiają przyjęcia do wiadomości niepożądanych konsekwencji swoich działań, i tak wyrządzają szkody.

Czytelnicy Swifta rozpoznali w Wielkiej Akademii Lagadyjskiej satyrę na Towarzystwo Królewskie, które już wtedy było czcigodną i szanowaną instytucją. Chociaż angielscy poszukiwacze faktów empirycznych spotykali się od 1640 roku, grupa sformalizowała się jako Towarzystwo Królewskie za czasów Karola II, a od 1663 roku obowiązywała nazwa The Royal Society of London for Improving Natural Knowledge (Towarzystwo Królewskie w Londynie na rzecz Rozwijania Wiedzy Naturalnej). Słowo „naturalna” odwołuje się do rozróżnienia między taką właśnie wiedzą – opartą na tym, co można było zobaczyć i zmierzyć, oraz na „metodzie naukowej”: mieszance obserwacji, hipotezy, eksperymentu i dedukcji – a wiedzą „boską”, którą uznawano za niewidzialną i niemierzalną, należącą do wyższego porządku.

Choć te dwa porządki wiedzy nie miały popadać w konflikt, często się to zdarzało. Bywało, że oba przykładano do tego samego problemu, ze sprzecznymi rezultatami. Działo się tak szczególnie podczas wybuchów epidemii: ofiary i ich rodziny uciekały się zarówno do modlitwy, jak i do przeczyszczenia, a kto mógł stwierdzić, który z tych środków był skuteczniejszy? Jednak w ciągu pierwszych pięćdziesięciu lat istnienia Towarzystwa Królewskiego „wiedza naturalna” bardzo zyskała na popularności, a samo Towarzystwo coraz częściej pełniło rolę panelu ekspertów w zakresie doświadczeń, zbierania faktów i różnorodnych demonstracji.

Swift prawdopodobnie zaczął pisać „Podróże Gullivera” w 1721 roku, w którym, co ciekawe, wybuchła śmiertelna epidemia czarnej ospy, zarówno w Londynie, jak i w Bostonie. Takich epidemii było już wcześniej wiele, ale tej towarzyszył ostry spór o szczepienia. Wiedza boska się wahała: czy szczepienie było darem od Boga, czy też sama czarna ospa stanowiła dopust boży i karę za złe zachowanie, a każda próba ingerencji w nią świadczyła o bezbożności? Coraz bardziej wierzono jednak praktycznym результатам niż teologicznym argumentom.

W Londynie orędowniczką szczepień była lady Mary Wortley Montagu, która poznała tę procedurę w Turcji, kiedy jej mąż był tam ambasadorem. W Bostonie wielkim jej zwolennikiem był, co może dziwić, Cotton Mather – ten od szaleństwa z procesem czarownic w Salem i dzieła „Wonders of the Invisible World” – który dowiedział się o niej od zaszczepionego niewolnika z Afryki. Obojgu, choć początkowo ich szkalowano, w końcu udało się dowieść skuteczności zabiegu. Oboje współpracowali z lekarzami – Mather z dr. Zabdielem Boylstonem, który w 1726 roku odczytał w Towarzystwie Królewskim artykuł o wynikach swojej połączonej z badaniami praktyki, zaś lady Mary z dr. Johnem Arbuthnotem.

Można by się spodziewać, że Swift będzie przeciwnikiem szczepień. W końcu sam zabieg był odpychający i sprzeczny z intuicją, skoro wiązał się z wprowadzeniem ropy z zainfekowanych ofiar do tkanek zdrowych ludzi. Przypomina to eksplodującego psa z Wielkiej Akademii Lagadyjskiej i inne szaleństwa rodem z Lagado. Swift wziął jednak stronę zwolenników szczepień. Był starym przyjacielem dr. Arbuthnota, podobnie jak on członkiem Martinus Scriblerus Club, założonego w 1714 roku stowarzyszenia,

które zajmowało się tworzeniem satyr na nadużycia nauki. A w przeciwieństwie do groteskowych eksperymentów projektorów – w których wymyślaniu mogły Swiftowi pomóc wskazówki od „wtajemniczonego” dr. Arbuthnota – szczepienia wydawały się na ogół skuteczne.

To nie doświadczenia jako takie znalazły się na celowniku trzeciej księgi „Podróży Gullivera”, ale eksperymenty nieudane, przynoszące skutek odwrotny od zamierzonego. Swift wyszydza tu także obsesyjne podejście projektorów: nieważne, ile psów pęknie, oni nie ustają w wysiłkach, pewni, że następnym razem, kiedy nadmuchają psa, osiągną oczekiwany efekt. Chociaż pozornie działają zgodnie z metodą naukową, rozumieją ją opacznie. Myślą, że skoro z ich rozumowania wynika, że eksperyment powinien się udać, to są na właściwej drodze; ignorują więc obserwowane doświadczenie. Choć nie zdradzają pełnych objawów szaleństwa prawdziwie szalonych fikcyjnych naukowców z połowy XX wieku, robią wyraźny krok w tym kierunku. Wielka Akademia Lagadyjska stanowiła literacką mutację, która doprowadziła do powstania pomyleńców w białych fartuchach z filmów klasy B. (...)

